



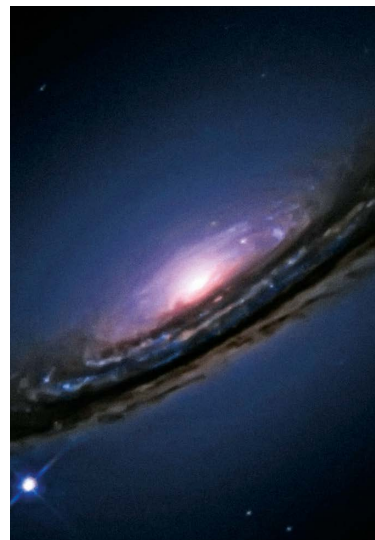
18

Schetyna musi odejść?



51

Szczerek w Nur-Sultanie



100

Co jest w niebie

Temat tygodnia

- 12 Jak staramy się oswoić śmierć, opowiada dziennikarka i pisarka **Krystyna Romanowska**

Polityka

- 15 Ewa Siedlecka **Po co PiS ten protest wyborczy**
18 Rafał Kalukin **Rozliczenia w Platformie**
21 OGŁĄD I POGLĄD Rafał Matyja **Inny Sejm, inny Senat, inny kraj**

Społeczeństwo

- 24 Mariusz Sepiolo **Rok radnego Kałuży – człowieka, który stracił twarz**
28 Joanna Cieśla **Zawodówki zawodzą**
31 Marcin Kołodziejczyk **O katolickim kamieniarzu i żydowskich macewach**
34 Marta Mazuś **Koniec Fundacji Refugee.pl**

Rynek

- 36 Juliusz Ćwieluch **Pieniądze zabrane do grobu**
38 Adam Grzeszak **Giełda pustoszeje**

Świat

- 48 Marek Świerczyński **Uzależnieni od Lockheed Martin**

- 51 Ziemowit Szczerek KAZACHSTAN **Miasto na cześć prezydenta**
54 Maciej Okraszewski HISZPANIA **Dolina Poległych już bez Franco**
56 Edwin Bendyk **Socjalizm partycypacyjny według Piketty'ego**

Historia

- 58 Jarosław J. Szczepański **Moskwa w rękach Polaków**
61 **Prosto z książki**
62 Rozmowa z prof. **Andrzejem Friszke** o Adamie Pragierze, polityku PPS i autorze „Czasu przeszłego dokonanego”

Nauka

- 64 Edwin Bendyk **Jak pół wieku temu narodził się internet**
68 Rozmowa z dr **Olga Śmiechowicz**, laureatką Nagrody Naukowej w kategorii humanistyka, o tym, czy teatr antyczny ma jeszcze coś do powiedzenia

Ludzie i style

- 70 Marcin Piątek **Szabliska poszła na zwarcie**
73 Rozmowa z **Agatą Stołą** i **Robertem Kowalczykiem**, autorami badań o wpływie homofobii na ryzykowne zachowania społeczności LGBT

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński **Wiedeńska wystawa dzieł Dürera**
84 Aneta Kyzioł **Wielka piątka na rynku VOD**
87 Adam Krzemiński **Jak sztuka upamiętnia ofiary wojny**
90 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
92 Justyna Sobolewska **Baśnie historyczne**

Na własne oczy

- 100 Przemek Berg **Zdumiewający kosmos**

Stałe rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 47 Przegląd informacji rynkowych
- 76 Afisz • 94 Passent • 95 Hartman
- 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaj



Tomasz Sekielski
i prokurator **Krzysztof Parchimowicz**
– laureaci Nagrody
im. Janiny Paradowskiej
i Jerzego Zimowskiego
s. 98





SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Koń a sprawa polska

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Zjednoczona Prawica w wyniku wyborów straciła większość w Senacie, media poinformowały, że we wsi Kije, powiat pińczowski, koń z niewiadomego powodu wszedł do domu swojego właściciela i wdrapał się na pierwsze piętro budynku. Nie ma żadnych dowodów, że oba wydarzenia coś łączy, wiadomo tylko, że w ich wyniku zarówno właściciel konia, jak i liderzy Zjednoczonej Prawicy byli w dużym szoku. W Kijach interweniującym strażakom szczęśliwie udało się nakłonić konia do opuszczenia budynku, dzięki czemu normalność we wsi została przywrócona. Niestety w Senacie sytuacja wciąż jest daleka od normalności. Opozycja nadal ma w tej izbie większość, a opozycyjni senatorowie pozostają głusi na propozycje przejścia do obozu rządzącego, w którym – jak przekonują politycy tego obozu – im i ich najbliższym żyłoby się lepiej. Oba zdarzenia pokazują, że w dzisiejszej Polsce z koniem dużo łatwiej się dogadać niż z opozycją. Prawda jest taka, że koń w Kijach wykazał się rozsądkiem, nie zapierał się kopytami podczas wyprowadzania, ale podjął współpracę ze strażakami, bo zrozumiał, że opór nie ma sensu. Tymczasem senatorowie opozycji nie wykazują się rozsądkiem i mimo propozycji objęcia wysokich stanowisk rządowych odmawiają współpracy z demokratycznie

wybraną władzą. Liderzy opozycji nie kryją, że przy pomocy swoich senatorów zamierzają odbić Senat z rąk władzy, której Senat się po prostu należy, i w ten sposób obalić istniejący obecnie w Polsce parlamentaryzm. „Musimy się nauczyć innego parlamentaryzmu, takiego, w którym jest debata, otwartość, szanuje się prawa opozycji” – zapowiada Grzegorz Schetyna.

Prezes PiS zapewnia, że inny parlamentaryzm już był, ale się nie sprawdził, dlatego nie ma na niego przyzwolenia suwerena. Przyzwolenia nie ma także dla wyników wyborów do Senatu, bo nie oddają one intencji suwerena, ponieważ – jak to ujął pełnomocnik PiS – „niewłaściwie zakwalifikowano jako nieważne głosy, które powinny zostać uznane za ważne”. Pełnomocnik zażądał ponownego przeliczenia głosów w sześciu okręgach w sposób prawidłowy, czyli taki, żeby głosy nieważne przyznać kandydatom PiS, którzy na nie zasługują.

Pytanie, co zrobić, jeśli po doliczeniu głosów nieważnych wyniki nadal będą nieprawidłowe? Doradzanie PiS nie jest moją rolą, ale uważam, że brakującą resztę można dobrać z puli głosów ważnych, ale „niewłaściwie zakwalifikowanych” jako oddane na kandydatów opozycji.

KLASA BIZNES EMIRATES

Latajcie razem

WYGODNIE

w specjalnej cenie
od 7672 zł*

Odkrywajcie świat z naszymi specjalnymi taryfami dla minimum 2 osób podróżujących razem w klasach biznes i pierwszej. Skorzystajcie z obsługi na światowym poziomie oferującej przejazd z szoferem od drzwi do drzwi, wykwintną kuchnię i rozrywkę podczas lotu. Rezerwujcie do 3 listopada 2019.

KIERUNEK	KLASA BIZNES OD* (Zł)	PIERWSZA KLASA OD* (Zł)
Dubaj	8831	13897
Delhi	7672	11560
Bangkok	7779	14338
Phuket	8229	13720
Kuala Lumpur	8706	15419

FLY BETTER


Emirates

*Cena przelotu w obie strony za osobę zawiera podatki oraz opłaty dodatkowe. Obowiązuje przy rezerwacji tego samego lotu dla minimum dwóch osób. Liczba miejsc jest ograniczona. Podróż w okresie od 27 października 2019 do 31 marca 2020. Obowiązują specjalne warunki taryfowe oraz ogólne warunki przewozu. Więcej informacji na emirates.com, pod numerem +48 22 306 08 08 lub w biurze podróży. Informujemy, że biura podróży mogą pobierać różne opłaty za usługi. Linie Emirates zastrzegają sobie prawo do zmiany taryf i cen. [Kup książkę](#)
Oferta Emirates Group z siedzibą główną pod adresem skrytka pocztowa 686, Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Półpaństwo



Jerzy Baczynski

Protesty powyborcze są czymś normalnym i może je składać każdy, kto ma wątpliwości dotyczące przebiegu wyborów. To jasne. Więc co jest nienormalnego w skargach PiS podających w wątpliwość wynik głosowania w sześciu okręgach senackich? Fakt, wnioski są byle jak umotywowane, oczywista jest polityczna intencja „odzyskania Senatu” – ale nie to jest tu problemem. Istotą sprawy jest KTO ma rozpatrywać skargi. A ściślej: uzasadniony brak zaufania do nowo utworzonej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, której PiS powierzył orzekanie o ważności wyborów (więcej s. 15). Wątpliwości budził już sam fakt powoływania sędziów tej Izby przez nową, wyłonioną z naruszeniem prawa Krajową Radę Sądownictwa, a także zignorowanie przez prezydenta Dudę wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego, który zablokował konkursy do SN. Prezydent mimo to pospieszyście nominował skład Izby, a na jej czele postawił swoją koleżankę z uczelni, dobrą znajomą.

Jeśli przez sam tryb powołania odbiera się sądowi domniemanie niezawisłości i bezstronności, odbiera mu się także wiarygodność i autorytet. I nieważne, kim osobiście są ludzie, którzy przyjęli nominacje prezydenta – cokolwiek teraz robią, wydają złe. Jeśli podważą wynik wyborów, będą podejrzewani o udział w politycznym „przekręceniu stulecia”; jeśli wnioski oddalą, będą podejrzewani o chęć uwiarygodnienia się, zmazania grzechu pierworodnego, po to by w aurze odzyskanego obiektywizmu orzekać potem po myśli politycznych mocodawców.

Aco z Najwyższą Izbą Kontroli (żeby pozostać przy tematach tygodnia)? Nominacja Mariana Banasia – ze wszystkim, co już o nim wiemy – oznaczała oddanie kontroli nad Izbą w ręce człowieka, którego można kontrolować i „zadaniować”. Jakby nie obrażać III RP, poprzedni prezesi NIK (patrząc od dziś – Kwiatkowski, Jezierski, Sekuła, Wojciechowski, Kaczyński, Kownacki) na ogół zachowywali duży stopień niezależności wobec wtedy rządzących, zwykle znajdowali się w umiarkowanej opozycji. Taki był polityczny obyczaj. Tym razem nawet nie podjęto próby uzgodnienia kandydatury na prezesa NIK z opozycją – został zatwierdzony przy wyłączonych mikrofonach. Przyzwyczajiliśmy się, że PiS tak robi. Ale jest i cena: zaufanie do NIK. Jaką wartość miałyby mieć ogłaszane przez Izbę raporty i analizy, jeśli nie sposób wykluczyć, że byłyby weryfikowane przez rząd lub Nowogrodzką? Sama instytucja została postawiona w stan obniżonej wiarygodności. To jest bardzo złe dla państwa, ale też ryzykowne dla rządzącej partii, bo ułatwia niekontrolowany rozrost rozmaitych patologii. Jednak taka była wola prezesa. No i co dalej? Jak w roli superkontrolera może występować człowiek podejrzewany o nadużycia i tolerowanie nadużyć? Kto i jakim sposobem miałby go zastąpić? Ewentualność, że PiS zgodziłby się z nowym Senatem uzgodnić nową kandydaturę, brzmi – znając historię tej partii – jak „sen wariata śniony nieprzytomnie”. Ważna instytucja została trwale uszkodzona.

Idźmy dalej. Przy okazji „sprawy Banasia” mogliśmy się także zetknąć z działalnością (a właściwie brakiem działalności) służb specjalnych. Wokół samego Mariana Banasia niczego nie widzieli, niczego nie mogli stwierdzić, samo badanie oświadczeń majątkowych przez CBA trwało miesiącami. Za to do warszawskiego ratusza agencji CBA wpadli jak do siedziby gangu, by uzyskać

(nikt nie odmawiał dostępu) dokumenty dotyczące oczyszczalni Czajka. A badanie oświadczeń majątkowych premiera Morawieckiego, a afery KNF, SKOK, Polskiej Fundacji Narodowej? Ktoś to tropi? Podejrzanie nieudolności i bałaganu w służbach jest uprawnione, lecz jeszcze bardziej – politycznej dyspozycyjności. Czy można ufać, że CBA czy ABW działają bezstronnie i wnikliwie, jeśli szef wszystkich służb jest wpływowym politykiem partii (zresztą skazanym wcześniej za nadużycie władzy)? Jeśli jednym z pierwszych ruchów PiS w poprzedniej kadencji było odsunięcie opozycji od sejmowej komisji ds. służb specjalnych? Gdyby nie mieli złych intencji, po co zrywaliby z obyczajem ponadpartyjnej kontroli?

A prokuratura? W ubiegłym tygodniu wręczaliśmy doroczne nagrody Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego (informacje na s. 98). Laureatem (obok Tomasza Sekielskiego) został prokurator Krzysztof Parchimowicz ze stowarzyszenia Lex Super Omnia, broniącego (resztek) niezależności prokuratury. Od członków Stowarzyszenia słyszeliśmy o dyscyplinarkach, przymusowych oddelegowaniach, cofaniu awansów i całym katalogu szykan, jakim są poddawani. Jeśli minister jest służbowym przełożonym prokuratorów, jak można mieć zaufanie do decyzji o umorzeniu lub niewszczynaniu śledztwa w sprawie „dwóch wież”, „farmy trolli” w Ministerstwie Sprawiedliwości, oskarżeń Falenty o udział polityków PiS w aferze taśmowej itd.? Jak wierzyć, że prokuratura – nawet jeśli na co dzień i wobec obywateli będzie działała profesjonalnie – kiedykolwiek i w jakiegokolwiek sprawie dobierze się do ludzi władzy? O to chodzi: prokuraturze też, systemowo, odebrano wiarygodność. A Trybunał Konstytucyjny? A urząd prezydenta? I tak punkt po punkcie.

Piszemy o tym wciąż i od dawna. Nie kontestujemy wyborczej legitymacji PiS do sprawowania władzy, ale dewastujący sposób, w jaki tę władzę sprawuje. Nie tylko dlatego, że przekracza czy nagi-na prawo, ale że podważa zaufanie do państwa, zaraża kolejne instytucje publiczne politycznością, a właściwie partyjniactwem. Nigdy z tym w Polsce nie było dobrze, lecz przynajmniej panowała szeroka zgoda co do stanu pożądanego (pouczająca jest tu historia tzw. służby cywilnej). PiS otwarcie odrzucił krępującą zasadę neutralności i autonomii instytucji państwa. No i mamy stan półpaństwa i półwładzy, gdy rządzący ignorują opozycję, popieraną przez co najmniej połowę obywateli, wypychają ją poza system. W takim państwie także decyzje, na których zależy władzy, będą miały charakter nieostateczny.

Demokracja (klepiemy to jak pacierz) to nie tylko wolne wybory, lecz coś znacznie delikatniejszego: zaufanie, poczucie wspólnoty, pewność reguł, szacunek dla służb państwowych. To się łatwo niszczy. Po wyborach część obozu rządowego zaczęła przebąkiwać, że trzeba „uwzględnić” istnienie 9 mln wyborców niepopierających władzy, inni, chyba większość, uważają, że trzeba „walczyć aż do ostatecznego zwycięstwa”. Ono, rzecz jasna, nigdy nie należy, ale państwo na pewno da się doprowadzić do ruiny.



© JAN KOZA

Marszałek Witek i jej jastrząb

Po pierwszym w tej kadencji wyjazdowym posiedzeniu klubu parlamentarnego PiS sprawa stała się jasna: **Elżbieta Witek** dalej będzie marszałkinią Sejmu. Od dobrze zorientowanych polityków tej partii można usłyszeć, że prezes Jarosław Kaczyński długo ważył wady i zalety Witek. – *Z jednej strony pokazała, że umie zaplanować nad salą, wykorzystuje do tego ten swój nauczycielski ton. Jest kobietą i politycy opozycji będą się hamować przed brutalnymi atakami na nią. Z drugiej strony wiemy, że to nie będzie łatwa kadencja i może być tak, że trzeba będzie szybko coś przeprowadzić przez Sejm albo pilnie zmienić regulamin, a Elżbieta jest w takich sytuacjach rozedrgana i przestraszona* – opisuje sytuację polityk PiS.

Przypomnijmy, że Witek stanęła na czele Sejmu na początku sierpnia, kiedy jej poprzednik pożegnał się ze stanowiskiem na skutek afery „Air Kuchciński”. W partii o Kuchcińskim krąży plotka, że chce zostać szefem klubu parlamentarnego. Dziś jest nim jeszcze Ryszard Terlecki.

Przed wejściem w politykę Elżbieta Witek (rocznik 1957) była nauczycielką i dyrektorką szkoły w Jaworze na Dolnym Śląsku. Jak informuje na swojej stronie internetowej, działała w lokalnej Solidarności. Do PiS zgłosiła się, kiedy Jarosław Kaczyński tworzył partię w 2001 r. Zapisła się razem

z mężem. Wystartowała w wyborach, ale nie dostała się do Sejmu. Udało się w 2005 r. (z okręgu legnickiego). Od tego czasu nieprzerwanie jest posłanką.

Kiedy Beata Szydło została szefową rządu, połączyła ją z sobą. Witek została szefową gabinetu i rzeczniką rządu. Przez krótki czas była też rzeczniką partii. Po zmianie premiera na Mateusza Morawieckiego Witek odeszła z KPRM. Kiedy Joachim Brudziński dostał się do europarlamentu, Witek z powrotem znalazła się w rządzie. Wchodząc do MSWiA, przyznawała, że to dla niej „niespodzianka”, dlatego przede wszystkim będzie się „tego resortu uczyć”. „Pan premier coś we mnie dostrzegł, co pomoże mi wypełniać tę misję” – mówiła.

Prezes Kaczyński jednak równie szybko dostrzegł, że pani minister zwyczajnie sobie nie radzi. Afera z lotami Kuchcińskiego stała się okazją, aby odwołać Witek z MSWiA i przenieść do Sejmu. W PiS opowiadano sobie, jak wiele lat temu Witek zwierzała się w „Gazecie Wyborczej”, że po katastrofie smoleńskiej przestała na dwa lata latać samolotami. Teraz już do nich wsiada, ale zapewne nauczona

doświadczeniem poprzedniego marszałka nie będzie nadużywać przywileju latania na koszt państwa.

W trudnych chwilach na sali obrad marszałkini będzie miała do pomocy Przemysław Czarnka. Przez ostatnie cztery lata był wojewodą lubelskim. To on wręczał odznaczenia dla samorządowców walczących z „ideologią LGBT”. Kandydował do Sejmu z drugiego miejsca w Lublinie i uzyskał najlepszy

wynik w okręgu: ponad 87 tys. głosów i 10. rezultat wśród kandydatów PiS w całym kraju. Nie chciał iść do Sejmu, ale prezes PiS nie pozwolił mu nie przyjąć mandatu posła. Przypisano mu rolę następcy Dominika Tarczyńskiego, który po brexicie wejdzie do PE. – *Czarnek ma stawać w imieniu Witek do walki z ludźmi wprowadzonymi na Wiekę przez Konfederację. Ona jest typem gołębia, a na nich trzeba jastrzębia* – mówią w PiS.

Elżbieta Witek wychwała prezesa: „To szef partii, strateg, konstruktor sukcesu PiS i Andrzeja Dudy. Jest demiurgiem, patronem i jest najważniejszy w PiS, bez niego PiS by nie było”. Bez niego nie byłaby marszałkinią IX kadencji Sejmu. (DAB.)



© TOMASZ JASTRZEBOWSKI/REPORTER

Prawica kłóci się o Zychowicza

Poszło o książkę Piotra Zychowicza o sensacyjnym tytule „Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA”. Jak zwykle u tego autora: nośny temat, uproszczony wywód i niepoprawna konkluzja. Murowany patent na bestseller. Zawodowi historycy załamują ręce, ale czytelnicy kupują. Nominację pamfletu Zychowicza w konkursie na Książkę Historyczną Roku przełamał członek jury Sławomir Cenckiewicz. Podobnie jak autor „Wołynia” zaliczany do prawicowych rewizjonistów, którzy od lat toczą spór z apologetami romantyczno-insurekcyjnej wersji polskich dziejów. Sam konkurs – kiedyś zainicjowany przez Lecha Kaczyńskiego, a organizowany m.in. przez IPN i TVP – cieszy się na prawicy prestiżem. Nagrody w kilku kategoriach przyznają jury oraz czytelnicy w głosowaniu internetowym.

Decyzja o nominacji zapadła przy niepełnym kworum i niejednogłośnie. W powietrzu zawiśł skandal. Podobno ktoś ostrzegł Nowogrodzką. Bo jak to będzie wyglądało, kiedy nagrodę instytucji odpowiadającej za politykę historyczną państwa polskiego odbierze autor, który opluł akowców, a wcześniej nazywał powstanie warszawskie



© PATRYK SROCIŃSKI

„obłędem” i postulował sojusz z III Rzeszą? Ale mleko się rozlało. Lista nominowanych tytułów została upubliczniona, ruszyło głosowanie w internecie, książka Zychowicza wyszła na prowadzenie. Przedstawiciel TVP Piotr Gontarczyk jeszcze próbował doprowadzić do usunięcia jej z konkursu. Reszta jury uznała jednak, że na to za późno; jednego skandalu się uniknie, ale kosztem większego. Choć presja na skasowanie Zychowicza

musiała iść z samej góry, bo koniec końców książkę i tak na ostatniej prostej usunięto, tym razem decyzją fundatorów (z naciskiem na TVP).

Rejwach się zrobił ogromny. Obie zwalczające się koterie publicystyczno-historycznego światka prawicy rzuciły się do gardeł. Poszły w ruch oskarżenia o cenzurowanie historii albo kłanie polskiego gniazda. Jury podało się do dymisji, a Cenckiewicz z Zychowiczem butnie zażądali unieważnienia konkursu – skołowany prezes IPN Jarosław Szarek ostatecznie temu uległ, dokonując klasycznego wylania dziecka z kąpielą.

Teraz „Wołyń zdradzony” ze stemplem książki wykleję pewnie osiągnie górkę sprzedażową. Nad Cenckiewiczem i tak zbierały się chmury. Ponoć ma polecieć ze stanowiska dyrektora Wojskowego Biura Historycznego – jeszcze w ramach czystek po Macierewiczu, ale teraz będzie mógł ogłosić się męczennikiem za prawdę. Zapłacił Bogu ducha winni pozostali nominowani autorzy. Nagród i wyróżnień do rozdzielenia było całkiem sporo, a kosztów promocyjnych wydawców nikt już nie zwróci. (RK)



Krótkość radości

Obserwujemy bardzo dziwne zjawisko: okazuje się, że liderzy wszystkich partii... martwią się swoimi uzyskami z 13 października.

Wchwili ogłoszenia wyników wyborów parlamentarnych wszystkie partie polityczne miały powody do radości. PiS, bo je wygrało i mogło spokojnie myśleć o kontynuacji swoich rządów. PO, bo pomimo porażki okazała się najpotężniejszą siłą opozycyjną, zdolną do nawiązania walki z partią Jarosława Kaczyńskiego. SLD (oraz Wiosna i Razem), bo sprawił, że lewica po czterech latach pozaparlamentarnej tułaczki powróciła na Wiejską. PSL, bo ryzykowny manewr samodzielnego startu (w dodatku w nieco egzotycznym sojuszu z Pawłem Kukizem) zakończył się sukcesem. Konfederacja zaś, bo zjednoczenie radykalnej prawicy opłaciło się i jej reprezentanci zasiadą w ławach poselskich, co przy wysokiej jak na polskie warunki frekwencji nie było zadaniem łatwym.

Tak wyglądało to w chwili ogłoszenia wyników i kilka dni po. Ale obecnie obserwujemy bardzo dziwne zjawisko: okazuje się, że liderzy wszystkich partii... zamartwiają się swoimi uzyskami z 13 października.

Zaczniemy od PiS. Partia ta – a mówiąc bardziej precyzyjnie, jej sojusz z ugrupowaniami Jarosława Gowina i Zbigniewa Ziobry – uzyskała dokładnie tyle samo mandatów, co przed czterema laty, choć zwiększyła swoje poparcie z 37,5 proc. w 2015 r. do 43,5 proc. w tym roku (w liczbie otrzymanych głosów to zysk o ponad 2,3 mln w stosunku do poprzedniej elekcji!). Ma więc Jarosław Kaczyński powody do zawodu, skoro pomimo potężnych transferów socjalnych musi rządzić tą samą większością parlamentarną, co do tej pory. O zgrozo, jest jeszcze gorzej! Bo, po pierwsze, nie ma w Sejmie klubu Kukiz'15, który przez ostatnie cztery lata był rezerwuarem dodatkowych szabel w zbożnym dziele wspierania „dobrej zmiany”. A po drugie, koalicjanci – czyli Porozumienie i Solidarna Polska – znacząco urosli w siłę. Zwiększyli swój stan posiadania do 36 posłów i posłanek, co jest wzrostem o 200 proc. wobec poprzedniego stanu rzeczy. Gowin i Ziobro będą zatem niezbędnym elementem koalicyjnej układanki i nie da się bez nich rządzić. To budzi dyskomfort prezesa PiS, który takich sytuacji nie lubi.

Grzegorz Schetyna także nie ma powodów do radości. O ile w chwili ogłoszenia wyników mógł poczuć ulgę, bo jednak dystans do zwycięskiego PiS nie był katastrofalny, o tyle obecnie coraz częściej i głośniej jego przywództwo w partii jest kwestionowane. Nie ma dnia, by któryś z „młodych wilków” nie wbił w niego szpili lub nie wyznał w wywiadzie prasowym lub radiowym, że Schetyna „wie, co powinien zrobić”. A tym czymś, co oczywiście, jest dymisja z funkcji przewodniczącego PO. Lider Platformy robi, co może, aby odsunąć w czasie wewnątrzpartyjne wybory, bo wie, że czas działa na jego korzyść. Ale ta gra na czas może mu się nie udać. Ma, co prawda, większe niż jego konkurenci doświadczenie w tego rodzaju rozgrywkach, jednak ich jest chmara. W naturze osaczony niedźwiedź często przegrywa z gromadą chartów. Właśnie z tego typu sytuacją mamy do czynienia w PO, a wynik tej konfrontacji jest trudny do odgadnięcia.

Także lewica chyba już wybudziła się z szampańskiego nastroju, w którym szła spać 13 października. Zabawa musiała być przednia (jak to na lewicy), ale kac dotyka każdego, bez względu na preferencje polityczne. A w przypadku lewicy wygląda na to, że to, co się złączyło, zaczyna się dzielić. Perspektywa wspólnego klubu parlamentarnego chyba się oddała, prawdopodobnie powstaną dwa, a może nawet trzy koła/kluby. Przed Czarzastym, Biedroniem i Zandbergiem stoi także niełatwe zadanie wyłonienia wspólnego kandydata na prezydenta, co raczej będzie paliwem do bratobójczej wojny na lewicy niż przyczynkiem do zadzierzganiania kolejnych więzów sympatii i porozumienia. Znosi się zatem na to, że przed liderami lewicy niełatwe cztery lata w opozycji i wojna o to, kto w 2023 r. będzie jej, czyli lewicy, twarzą.

Także u ludowców skończyła się chyba euforia po tym, jak po raz kolejny uratowali się przed wypchnięciem z parlamentu. Bezpiecznie przekroczyli próg wyborczy, ale bądźmy szczerzy – nie był to jedyny ich cel. Ryzykując samodzielny start, grali także o to, aby w razie braku większości sejmowej dla PiS być oczywistym (bo lepszym i bardziej przewidywalnym niż Konfederacja) koalicjantem partii Kaczyńskiego. Nikt tego nie mówił głośno, a nawet słyszać było ciągle zaprzeczenia, ale dla obserwatorów sceny politycznej było oczywiste, że nawet jeśli Władysław Kosiniak-Kamysz nie chce współrządzenia z Kaczyńskim, to jednak duża część działaczy, także szczebla centralnego, nie miałaby nic przeciwko temu. A trzeba przypomnieć, że statut Stronnictwa przewiduje łatwą zmianę prezesa między zjazdami – dokonuje tego kilkudziesięcioosobowa Rada Naczelna. Możliwe zatem, że szef PSL nie chciałby, ale musiałby pójść na rozmowy koalicyjne z PiS. Jednak – jako się rzekło – nie będzie takiej potrzeby, bo PiS ma wystarczającą większość, nie musi układać się z ludowcami. Zatem lekki żal w Stronnictwie wydaje się uzasadniony.

Wreszcie konfederaci. Co prawda udało się im sztuka przekroczenia progu, ale znając gen samozagłady obecny na polskiej radykalnej prawicy, można oczekiwać już w niedługim czasie podziałów oraz oskarżeń o bycie rosyjskim/żydowskim/niemieckim/amerykańskim agentem. Poza tym w Sejmie wyborcy będą mogli przez cztery lata oglądać występy panów Korwin-Mikkego czy Grzegorza Brauna, co jest prawie pewnym prognostykiem pognania ich precz za cztery lata. Są bowiem oni, oraz ich przyboczni, tyleż absorbujący uwagę, co odstręczający w swych poglądach i wypowiedziach. To zaś czyni z nich zjawisko przejściowe: już to pojawiające się, już to znikające z politycznego firmamentu.

Tak oto objawia się nam specyficzny rys polityki – krótkość radości. Mają bowiem rację ci, którzy twierdzą, iż polityka to sfera stałego dyskomfortu psychicznego. Za każdą chwilę euforii płaci się tu długimi okresami walki, swarów, kłótni i utrapień. Dlatego pożałujmy od czasu do czasu polityków – ich życie jest gorzkie, pełne zmartwień i trosk. Dajmy im się od czasu do czasu nacieszyć przejściowymi sukcesami. Tak szybko mijają.

KOMENTARZ

Profesor Gliński i mister Hyde

Piotr Sarzyński

Minister kultury Piotr Gliński był w minionych latach adresatem wielu, pisanych z różnych powodów i przez różne gremia, listów otwartych. Nie wiem, czy na nie odpowiadał, ale wiem, że wreszcie sam postanowił skrobnąć list otwarty, a jego odbiorcą, dość nieoczekiwanie, uczynił moją skromną osobę. Pretekstem był mój artykuł o wystawie polskiej sztuki XIX w. w muzeum Louvre-Lens. A konkretnie akapit, w którym (złośliwie – nie ukrywam) skomentowałem pismo naszego ministra do dyrektora Luwru Jeana-Luca Martinetza, dotyczące możliwości – a właściwie niemożliwości – wypożyczenia naszej „Damy z łasiczką” na wielką paryską wystawę Leonarda da Vinci. Minister Gliński zarzucił mi, że w swoim komentarzu opierałem się na treści ministerialnego tweeta („skrótowego z konieczności”, jak zaznacza), a nie na samym liście, do którego zresztą nie miałem wglądu.

Teraz już mam – udostępniony przez służby prasowe resortu. Przyznaję, że obie wersje różnią się dyplomatyczną jakością. „Możemy rozważyć ten pomysł. Pod warunkiem, że Pan wypożyczy nam Mona Lisę” – to tweet. „Moglibyśmy rozważyć wypożyczenie Damy z gronostajem w przyszłości, gdyby na zasadzie wzajemności, wyraził Pan zgodę na wypożyczenie Mona Lisy na wystawę w Muzeum Narodowym w Krakowie, w odpowiednim dla Pana terminie” – to list. Sens właściwie ten sam. Ale ciekawe jest co innego. Tweet pokazuje, że na potrzeby publicznego wizerunku Piotr Gliński jest kreowany na bezkompromisowego przedstawiciela idei wstawania z kolan i walki o narodową dumę. Bo w ministerialnym tweecie pominięto np. fakt, że odmowa wypożyczenia została przekonująco i elegancko uzasadniona otwarciem w tym samym czasie Muzeum Czartoryskich, którego obraz Leonarda jest największym klejnotem. Elektorat w miejsce dyplomaty kulturalnego widzi więc wojownika, który się nie ugnie przed byle Francuzem.

4 grosze emerytury z ZUS

To rekord pod względem wysokości – a raczej niskości – świadczenia. Osoba wyróżniona tą kwotą odprowadziła składki za jeden miesiąc i 13 dni pracy. Na tej podstawie wyliczono wysokość emerytury, która będzie wypłacana jej do końca życia. ZUS nie może skumulować tej kwoty i wypłacić jej jednorazowo: ustawodawca nie przewidział takiej sytuacji i takiego rozwiązania. W efekcie co miesiąc

na konto emeryta rekordzisty wpływają 4 gr. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że ma darmowe konto, w innym wypadku musi do tej emerytury dołożyć. Takiej i podobnej wysokości świadczenia to „dzieci” nowego systemu emerytalnego wprowadzonego w 1999 r., gdzie emerytura miała być wypłacana zgodnie z zasadą: ile oszczędzisz, tyle dostaniesz. Okazało się jednak, że 100 tys. Polaków od 1999 do 2019 r. nie opłaciło ani jednej składki. Większość z nich to kobiety ze Śląska, czyli najprawdopodobniej żony górników. I mężczyźni z okolic Płocka. Tego drugiego fenomenu ZUS nie potrafi wytłumaczyć. Dodatkowo 28,6 tys. Polaków pobiera świadczenie niższe niż 500 zł. A to dopiero początek wysypu głodowych emerytur. Osób, które pobierają świadczenia poniżej 500 zł, przybyło w tym roku o 31,3 proc.

Na drugiej stronie skali znajduje się mężczyzna, który pobiera co miesiąc **22,4 tys. zł emerytury**. Jak podkreśla rzecznik ZUS Wojciech Andrusiewicz, ciężko na te pieniądze pracował: *– Po 57 latach pracy przeszedł na emeryturę w wieku 81 lat. Rekordzista jest w bardziej elitarnym gronie. Kolejnych 11 osób pobiera świadczenie powyżej 15 tys. zł. A w sumie 427 – powyżej 10 tys. zł, wliczając w to wcześniej opisanych.*

Kup książkę

POLITYKA nr 44 (3234), 30.10–5.11.2019

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.



Nowość

5 dni, 3598 zł

Holandia – wiatraki, sery i tulipany

Przeżyj tulipanowy zawrót głowy w Holandii i zobacz słynny park Keukenhof, największą na świecie giełdę kwiatową oraz Amsterdam i Rotterdam

Program wycieczki: Dz 1. Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wizyta na farmie serów. Dz 2. Park kwiatowy Keukenhof. Dz 3. Amsterdam - diamenty, rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. Dz 4. Giełda kwiatów w Aalsmeer, wiatraki w Zaanse Schans i Volendam. Dz 5. Zwiedzanie Rotterdamu i czas wolny w Amsterdamie. Powrót do kraju.

✈️ **Wylot z Warszawy: 26/04 2020** **Bilety wstępów w cenie**



Przedłużenie wycieczki: Kapsztad, Wodospady Wiktorii, Mauritius

10 dni, 5998 zł

Kapsztad afrykański raj

Wybierz się z nami do Południowej Afryki, spróbuj najwspanialszych win świata i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i cudownymi krajobrazami!

Podziwiał widoki z Góry Stołowej, popłyn z nami w rejs i poznaj Kapsztad od strony oceanu. Podczas wycieczki na Przylądek Dobrej Nadziei zobacz foki wylęgające się na skałach, pingwiny na plaży oraz miejsce, gdzie wody Oceanu Atlantyckiego spotykają się z Oceanem Indyjskim. Będzie też okazja do degustacji wyśmienitych win w autentycznych winnicach o 300-letniej tradycji w otoczeniu pięknej przyrody. To miejsce jest rajem nie tylko dla wielbicieli dobrej kuchni i wina, ale także dla miłośników przyrody i kultury. Kapsztad zachwyca turystów od lat, więc daj się uwieść jego nieodpartemu urokowi.

✈️ **Wylot z Warszawy: 09/03 2020**

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Rezerwacja +48 22 128 48 81 albatros.pl
Warszawa ul. Marszałkowska 74

KOMENTARZE

Cofka
Europy

Łukasz Wójcik



© REUTERS/FORUM

Zablokowanie Albanii i Macedonii Płn. to duży błąd Unii.
Szczególnie że popełniony bez presji.

Rozmowy akcesyjne to bez wątpienia najskuteczniejsza polityka w historii Unii Europejskiej. Całkiem niedawno były premier Belgii Guy Verhofstadt przekonywał, że Polskę i Węgry trzeba było trzymać w przedsiönku Unii bez końca, wówczas nie doszłoby do problemów z rządami prawa. Chodzi tu o mechanizm, który wymusza na krajach aspirujących przystosowanie się do szeregu standardów demokratycznych i gospodarczych. W normalnych okolicznościach kraje te, w większości członkowie dawnego bloku wschodniego, nie podjęłyby takich reform. Ale perspektywa udziału w największym rynku świata i miliardowych dotacji z unijnego Funduszu Spójności sprawiała, że zachodnia cywilizacja docierała w miejsca, w których nikt jej wcześniej nie widział.

To się jednak skończyło. Impas akcesyjny panował od lat – zamrożono rozmowy z Turcją. Ale decyzja Unii o nierozpoczynaniu rozmów

akcesyjnych z Albanią i Macedonią Płn. może oznaczać pierwszą tzw. cofkę geopolityczną Unii. W obu przypadkach główną rolę odegrał prezydent Francji Emmanuel Macron, który twierdzi, że rozszerzenia Unii powinny być zablokowane do czasu, gdy Unia sama się zreformuje. Sensowny argument, ale tylko z pozoru. Nie chodziło bowiem o decyzję o przyjęciu do Unii tych dwóch krajów, a jedynie formalne rozpoczęcie rozmów, które mogłyby potrwać nawet dekadę.

Macron albo uznał na podstawie sondaży, że taki ruch przyniesie mu popularność wśród Francuzów, bo – jak twierdzi prawicowa prasa nad Sekwaną – Albania jest muzułmańska, a Macedonia Płn. to państwo mafijne. Albo francuska blokada to element gry z Berlinem, któremu zależało na rozpoczęciu rozmów, ale wcześniej nie poparł ambitnego planu reform Unii według Macrona. Tak czy inaczej Unia straciła przełożenie w ważnym dla siebie sąsiedzkim regionie – zablokowanie Albanii i Macedonii Płn. zostało źle przyjęte m.in. w Serbii, która miała być następną w kolejce do Unii.

W dodatku akcesyjna cofka nie zostawi po sobie geopolitycznej pustki. 48 godzin po decyzji Brukseli do dymisji podał się północnomacedoński premier **Zoran Zaev**, główny sprawca porozumienia z Grecją w sprawie zmiany nazwy kraju. Zaev przekonywał, że dodanie słowa „Północna” to bolesna, ale historyczna decyzja, która otworzy Macedończykom bramy Unii. A teraz został z tą nazwą jak Himilbach z angielskim. Co więcej, w przyspieszonych wyborach może zwyciężyć skrajna prawica, która przekonuje, że „Macedonia należy do wschodniej cywilizacji, z centrum w Moskwie”. Podobnie zresztą tłumaczą dziś serbscy liderzy. Cywilizacje nie lubią próżni.



© GETTY

Chile się obudziło

Nie chodzi o 30 pesos, chodzi o 30 lat – tak przyczyny największego protestu od upadku dyktatury wyjaśniają ludzie, którzy w ostatnich dwóch tygodniach wylegli na ulice chilijskich miast. Zaczęło się od kontestowania podwyżki cen biletów na przejazd metrem (równowartość 15 gr), a skończyło na kwestionowaniu modelu drapieżnego kapitalizmu, który demokracja chilijska odziedziczyła po dyktaturze Pinocheta. Największa w historii **manifestacja w Santiago de Chile** zgromadziła 1,2 mln wściekłych. Wściekłych na co? Że nie mogą związać końca z końcem. Że płace są niskie, że emerytury głodowe, że drożeje prąd i gaz, że nie stać ich na prywatną wizytę u lekarza, a publiczna służba zdrowia znajduje się na haniebnym poziomie. Podobne hasła nieśli osiem lat temu chilijscy „oburzeni” (*indignados*), którym przewodziła studentka geografii Camila Vallejo (obecnie posłanka

do parlamentu) – wówczas kluczową kwestią protestów była droga edukacja. Teraz wybuchł gniew o wszystkie porażki demokracji.

Rządzący kreowali przez lata mit Chile jako „latynoskiego tygrysa”, kraju sukcesu. W istocie miał wysokie wskaźniki nierówności społecznych, gdzie niezamożnej większości coraz trudniej było żyć. Teraz powróciły demony przeszłości: w czasie gwałtownych pacyfikacji protestów zatrzymano tysiące ludzi. Po raz pierwszy od czasów Pinocheta prawicowy rząd Sebastiana Piñery wyprowadził przeciwko zbuntowanemu wojsku, padło 18 zabitych, kilkaset osób zostało rannych, ogłoszono godzinę policyjną. Prezydent zapowiedział zmiany na stanowiskach i zmiany w polityce rządu. Zbuntowani nie dowierają. Powtarzają, że „Chile się przebudziło”. Ale dla przeprowadzenia rzeczywistych zmian samo przebudzenie może się okazać niewystarczające.

Brexit, cdn.

W Londynie półzartem mówi się, że premier Boris Johnson to pierwszy więzień polityczny na Wyspach od czasów chwałebnej rewolucji z XVII w. Trochę w tym prawdy. Jego rząd nie ma większości w parlamencie. Izba Gmin wciąż nie ratyfikowała żadnej umowy brexitowej. A jednocześnie nie zgadza się na przyspieszone wybory, które zapewne pozwoliłyby na wyjście z kryzysu. Johnson od tego stopnia czuje się uwięziony na 10 Downing Street, że niedawno rozważał złożenie wotum nieufności wobec własnego rządu.

Premiera blokuje Partia Pracy – aby rozpisnąć wybory, potrzebna jest większość dwóch trzecich głosów. Dotychczas laburzyści obawiali się, że zgoda na przyspieszone wybory bez gwarancji przesunięcia brexitu poza obecny termin 31 października może oznaczać, że Wielka Brytania wyjdzie z Unii bez umowy. Ten argument jest już nieaktualny, bo Unia zgodziła się na przełożenie brexitu na 31 stycznia. Nieoficjalnie jednak Partia Pracy nie chce przyspieszonego głosowania, bo obawia się o swój wynik wyborczy – według sondaży traci do torysów 16 pkt proc.

Z pomocą mogą przyjść mniejsze ugrupowania. W weekend Liberalni Demokraci i Szkocka Partia Narodowa zapowiedzieli, że jeśli Unia zgodzi się na przełożenie brexitu, to zagłosują za jednozdaniową poprawką do ustawy wymagającej dwóch trzecich głosów dla rozwiązania parlamentu, ustanawiającą datę wyborów na 9 grudnia. Oba ugrupowania liczą na zyski w głosowaniu. A Johnson liczy na wolność.

Odejdźcie!

Libańczycy mają dość swoich przywódców, chcą odejścia całej klasy politycznej. Obywatele od połowy października swoje niezadowolenie setkami tysięcy wyrażali na ulicach, blokowali drogi, ścierali się z siłami bezpieczeństwa, a pod koniec miesiąca dali wyjątkowy w Libanie pokaz jedności. Złapali się za ręce i utworzyli żywy łańcuch biegnący przez cały kraj, przez 170 km między Trypolisem na północy i Tyrem na południu. Posługiwali się przy tym tylko jednym symbolem – flagą państwową z wizerunkiem drzewa cedrowego.

Protestujący powszechnie deklarują, że pierwszy raz czują się dumni z bycia Libańczykami. Mówią o konieczności naprawy państwa i rewolucji, która wreszcie zakończy trzy dekady rządów tej samej grupy. Jednej, co nie oznacza, że jednolitej. Łączy ją trwanie u władzy od ostatniej wojny domowej i skłonność do korupcji, różni wszystko inne. Libańskie podziały biegną po liniach religijnych, głównie różnych odłamów islamu i chrześcijaństwa, zachowywanie równowagi między nimi to klucz

do uchronienia się przed kolejną wojną domową. Ale nie lek na kryzys gospodarczy, taki jak obecny, tak głęboki, że zapowiedź rządu m.in. o nałożeniu opłat na z definicji darmowe komunikatory internetowe doprowadziła do społecznej eksplozji. W ogniu krytyki własnych zwolenników znalazł się nawet Hezbollah, szyickie ugrupowanie polityczno-militarne, zachowujące autonomię od władz państwowych.

Wariancie najbardziej pesymistycznym manifestację doprowadzają do tego, co Liban ćwiczył już wielokrotnie: konfliktu wewnętrznego, może obcej interwencji. Nowym elementem jest energia obywatelska. Podobnie jak w Santiago de Chile (patrz s. 10) protestujący w Bejrucie wracają na miejsca demonstracji, by je sprzątać. Podobnie jak w Hongkongu libański ruch protestu też nie ma liderów. Optymiści w tym oddolnym ruchu, przekraczającym dotychczasowe podziały, widzą narodziny narodu libańskiego, który w niepodległym od siedmiu dekad kraju nie zdążył się wykształcić.



© GETTY

helikopterami, głównie z Iraku, operacja poszła sprawnie.

Al-Baghdadi to jedna z najciekawszych karier w świecie dżihadu. Urodzony w 1971 r. w Iraku, miał doktorat ze studiów islamskich i ambicje, które nie zmieściły się w irackim oddziale Al-Kaidy. Nie zgadzał się z jej liderami – dla nich kontrola nad terytorium miała być ostatnim etapem, dla al-Baghdadiego – pierwszym. W maju 2014 r. po błyskawicznej kampanii posłuszni mu dżihadysty zajęli syryjską Rakę, potem Faludżę w Iraku, aby ku zaskoczeniu rozgromić iracką armię i zając ponadmilionowy Mosul. W tamtejszym meczecie al-Baghdadi ogłosił powstanie kalifatu – Państwa Islamskiego (PI), które w szczytowym okresie kontrolowało obszar równy Francji.

Państwo Islamskie, które nawet dla Al-Kaidy było zbyt radykalne, przeprowadziło dwa najbardziej krwawe zamachy na Zachodzie ostatnich lat: w listopadzie 2014 r. w Paryżu (130 ofiar) i w marcu 2015 r. w Brukseli (32). Początkiem końca PI była kontrofensywa szyickich bojówek w Iraku. Później do walki z dżihadystami w północnej Syrii ruszyli Kurdowie wspierani przez USA. Dziś niedobitki PI kryją się wzdłuż Eufratu.

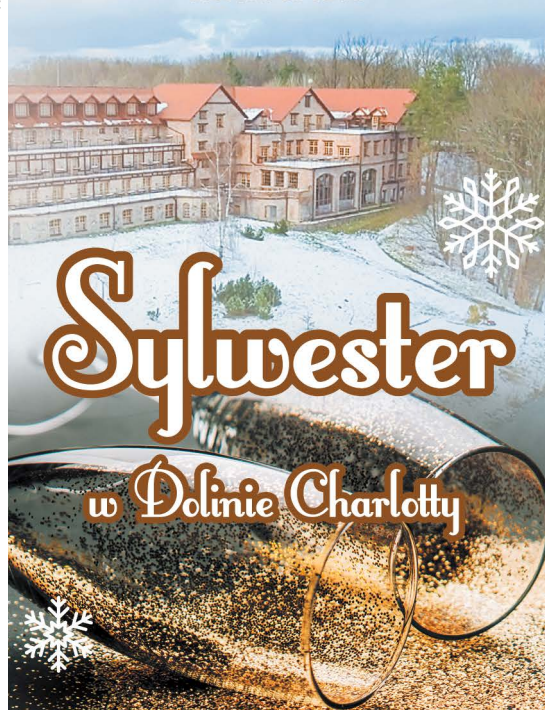
Śmierć al-Baghdadiego kończy pewien dżihadystowski eksperyment. Teraz zapewne wielu bojowników PI powróci do luźniejszego modelu Al-Kaidy, czyli poziomej organizacji prowadzącej skryte działania, bez ambicji państwowotwórczych. A prezydent Trump będzie mógł powiedzieć, że również w zabijaniu hersztów dżihadu nie jest gorszy od Baracka Obamy.

Dżihadysty bez lidera

Wkońcu Donald Trump doczekał się swojego bin Ladena. Według prezydenta USA w sobotę zginął lider tzw. Państwa Islamskiego **Abu Bakr al-Baghdadi**. Wraz z trójką dzieci wysadził się w powietrze, otoczony przez amerykańskich komandosów. CIA obserwowała go już od kilku miesięcy, ostatecznie znalazł się w prowincji Idlib, na północnym zachodzie Syrii. Komandosi dotarli na miejsce



Dolina Charlotty
Resort & SPA



Elegancki Sylwester w Dolinie Charlotty
Naszych Szanownych Gości powitamy kolorowym drinkiem, uroczystą kolacją oraz wspaniałą muzyką taneczną w wykonaniu zespołu Alive. Bufet wypełni się przekąskami, a całość uzupełni bogata oferta open bar. Dla dzieci przygotowaliśmy wspaniały Bal z grami i zabawami, które poprowadzą animatorzy.



Dolina Charlotty Resort & SPA

Strzelinko 14, 76-200 Słupsk

+48 59 847 43 41

rezerwacja@charlotta.pl

www.dolinacharlotty.pl

GADU GADU O TABU

© TADEUSZ POŹNIAK



Krystyna Romanowska, dziennikarka, pisarka. Interesuje się psychologią społeczną. Współautorka książki z prof. Zbigniewem Lwem-Starowiczem.

Rozmowa z Krystyną Romanowską, dziennikarką, pisarką, autorką wstępu do polskiego wydania książki „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji” Michaela Hebb.

ŁUKASZ LIPIŃSKI: – **Gdy dostałem od pani maila z zaproszeniem na kolację, przy której mieliśmy rozmawiać w gronie obcych osób o śmierci, kompletnie nie miałem na to ochoty.**

KRISTYNA ROMANOWSKA: – Część ludzi, koło jednej trzeciej, nie odpisała w ogóle. Część odpisała: „nie jestem na to gotowa/gotowy”. A nawet ci, którzy przychodzą, najczęściej mają strach w oczach. Są zaniepokojeni tym, co się będzie działo. Nieznajomi ludzie, o śmierci, przy kolacji... Zakładałam, że część ludzi rzeczywiście nie jest gotowa. Szanuję to.

Śmierć jest najsilniejszym tabu dzisiejszej cywilizacji. Odsuwamy ją od siebie, nie chcemy o niej rozmawiać, nie chcemy widzieć. Nie ma jej.

Myśląc o tym, sięgnęłam do bajek ludowych. Jest w nich motyw śmierci jako kumy, matki chrzestnej – spersonalizowanej kostuchy, która przychodzi do domu, siada przy stole. Można ją oszukać, gdy się stół przestawi albo obróci łóżko. Można napić się z nią wódki, ale pozostaje nieuchronna. Jest oswojona, choć wciąż straszna.

Ludzie kiedyś byli za pan brat ze śmiercią, bo częściej umierali bardzo szybko i ta śmierć była wciąż obecna w ich życiu. A kiedy ją zmedykalizowaliśmy i wystawiliśmy do szpitala, to już nie ma kostuchy przy stole.

A ktoś bliski znika. Kiedyś była masa rytuałów związanych ze śmiercią: obmywanie zwłok, czuwanie, wystawianie na widok publiczny...

To pozostało jeszcze w miasteczkach, np. na Suwalszczyźnie, skąd pochodzę. Gdy umarł mój tata i trumna była zamknięta, cała rodzina pytała dlaczego. Powinna być otwarta i wszyscy powinni go widzieć. W Sejnach rytuałem jest czuwanie przez trzy dni i odmawianie różańca. Gdy rozmawiam dziś z ludźmi w Warszawie, to tęsknią za takimi rytuałami.

Byłam kiedyś na pogrzebie ciotki. Trumna była otwarta, wokół gromadziły się kobiety i plotkowały, śmiały się. Pogrzeb był okazją do spotkania się z ludźmi, momentami pękałam ze śmiechu.

Mnie się też zdarzało bywać na stypach, na których opowiadaliśmy anegdoty o zmarłych, czasem całkiem szacownych. Przypominaliśmy ich zasługi, ale też słabości.

Są badania potwierdzające, że mówienie o śmierci w zabawny sposób poprawia nastrój osób, które przechodzą przez żałobę, pomaga w przeżywaniu śmierci kogoś bliskiego. Podczas tych kolacji widziałam, że po momencie napięcia wszyscy sobie przypominali anegdoty o zmarłych.

To opowiedzmy o tych kolacjach. Ile ich było, kto w nich uczestniczył?

Kolacji było dziesięć, zorganizowanych przy okazji wydania książki „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji”. Wydawnictwo postanowiło, że zrealizujemy je według scenariusza opisanego przez Michaela Hebb. Wzięło w nich udział łącznie 130 osób. Byli tam wszyscy: dziennikarze, terapeuci, wojskowi, biznesmeni, prawnicy, lekarze, studenci.

Jak wygląda taka kolacja?

W prywatnym domu jest stół z białym obrusem i rodzinna, intymna atmosfera. Prosi się gości, żeby pomogli rozłożyć naczynia, zapalili świece, postawili kwiaty. Gdy ludzie przychodzą, jesteśmy zwykle w trakcie gotowania i sami pytają, czy mogą pomóc. Kolację zaczyna się genialnym wynalazkiem: toastem za jedną, najbliższą nam zmarłą osobą. Hebb twierdził, że zaczerpnął to z rytuałów Indian Lacota i Aborygenów. Nie przypuszczałam, że to jest tak mocno otwierające doświadczenie. Podnosisz kieliszek i mówisz: „Piję za zdrowie Jurka, który był najlepszym wędkarzem” – jak powiedziałam o swoim ojcu.

PRZYCHODZI ŚMIERĆ NA KOLACJĘ

Jak chcemy umrzeć? To najważniejsze i najtrudniejsze pytanie, którego nikt nie chce sobie zadać. A zadać je powinien – przekonuje Michael Hebb, Amerykanin, autor książki „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji”, pomysłodawca ruchu Death Over Dinner. W ciągu ostatnich sześciu lat na całym świecie w kilkudziesięciu krajach w kolacjach wzięło udział prawie 2 mln osób. – A to dopiero początek – przekonuje Hebb. Z wykształcenia architekt, z praktyki restaurator, wierzy w transformacyjną moc

spotkań przy stole. Jako pierwszy wpadł na pomysł zorganizowania w swoim domu kolacji, podczas której znajomi i nieznajomi rozmawiali o śmierci. Skąd pomysł? Jego ojciec zmarł na alzheimera, kiedy Hebb miał 13 lat – nikt nigdy otwarcie z nim nie porozmawiał. Jako 30-latek przypadkowo rozmawiał w pociągu na trasie Portland-Seattle z dwoma lekarzami. Opowiedzieli mu o badaniach, z których jasno wynikało, że 75 proc. Amerykanów chce umrzeć w swoim domu, ale tylko 25 proc. jest to

dane. Hebb zadał sobie wtedy pytanie, dlaczego właściwie tak się dzieje? Może dlatego, że nikt nie odważy zapytać samego siebie, w jaki sposób chce umrzeć i opowiedzieć o tym bliskim. Po kilku latach Hebb z partnerem Angelem Grantem założyli organizację, która zachęcała ludzi, aby zbierali się przy stołach i rozmawiali o swojej śmierci. Hebb prowadzi także kursy dla lekarzy i pielęgniarek, które mają zapobiec ich wypaleniu zawodowemu, spowodowanemu ciągłym kontaktem ze śmiercią.

Nie sposób się nie wzruszyć. Każdy wyobraża sobie siebie w tej sytuacji.

Wśród uczestników kolacji zawsze dwie–trzy osoby od razu się wzruszają. Mówią potem: „myślałem, że mam to przerobione, od śmierci mojego ojca minęły cztery lata, a nagle się okazuje, że to wciąż buzuje”. Doświadczenie polega na tym, że wszyscy cię uważnie słuchają, każdy wznosi toast za swojego zmarłego i robi się z tego bardzo ważna opowieść.

Gdy usłyszysz dziesięć takich opowieści, następuje niewidzialny moment, w którym nawet najbardziej cyniczni ludzie się wzruszają. Nagle czujesz, że są gotowi otworzyć swoją wrażliwość. Przystają być ironiczni czy sarkastyczni.

To są najciekawszy obcy ludzie. To ułatwia czy utrudnia rozmowę?

Łatwiej, gdy są obcy. Ludzie nie są obciążeni interakcjami z przeszłości. Oglądasz czyste karty innych ludzi, zachwycasz się nimi. W rodzinie jest inaczej. Nie jest tak łatwo zachwycić się wujkiem Donaldem, który od lat opowiada seksistowskie żarty.

Gdy ludzie się nie znają, to widać w ich oczach autentyczne zainteresowanie, które pobudza do dalszych opowieści. Każda z nich jest wyjątkowa, a wśród gości widać, że ich żaloby nie zostały prze-gadane. Mogą o tym mówić przez całą noc, bo nigdy nikomu o tym nie opowiedzieli. Pytanie dlaczego?

Napisała pani, że zachęcała tych ludzi do fantazjowania na temat swojej śmierci. To dziwnie brzmi.

Musisz uruchomić wyobraźnię, żeby pomyśleć o tym, jak ma wyglądać twój pogrzeb. Część ludzi wie dokładnie np., czy chce być skremowana, czy chce mieć klasyczny pogrzeb.

Ja też wiem, chcę być skremowany. Ale to idzie dalej: ludzie często mają napisane mowy pogrzebowe na swój temat czy wybraną listę utworów na pogrzeb.

Jedna dziewczyna chciała być pochowana w zielonej trumnie, bo często ubiera się na zielono. Inna uczestniczka mówiła, że chciałaby, żeby na jej grobie co roku spotykali się znajomi, pili wódeczkę i rozmawiali.

Na pewnym etapie życia każdy tak myśli. A potem przyjaciele się rozchodzą albo sami umierają. Lub przestają pić wódkę.

Ale ważne jest samo urealnienie wyobrażenia, że np. za 30 dni miałyby mnie nie być. Można powiedzieć, że to bez sensu, po co o tym myśleć...

No właśnie, po co?

Nie po to, żeby z takiej kolacji wyjść z przeświadczeniem, że już się nie boję śmierci, bo tak nie jest. Śmierć dla każdego z nas jest skandalem, jest nie do przyjęcia.

W ostatnim numerze tygodnika „Science” opublikowano wyniki badań naukowców z Uniwersytetu Bar Ilan w Izraelu, z których wynika, że mózg nas oszukuje, chroni nas od myślenia o własnej śmierci. Inni mogą być śmiertelni, ale ja nie.

Nie jesteśmy w stanie tego przyjąć do wiadomości, dlatego możemy tylko o tym pofantazjować. Chodzi o to, żeby pomyśleć np. o tym, co się stanie ze wszystkimi moimi rzeczami. Moja mama kolekcjonowała wszystko, nigdy nie wyrzuciła nawet guziczka. Po jej śmierci musiałam się z tym zmierzyć.

Pomyślmy sobie: co mamy na pawlaczach? Kto zna piny do moich kart? Ale też: co po sobie zostawiam? Z czego jestem najbardziej dumny? Wielu ludzi nie jest gotowych na te pytania. To brzmi banalnie, ale gdy o tym pomyślisz, zupełnie inaczej układają ci się priorytety życiowe. Zaczynasz myśleć, że życie jest przywilejem.

To wcale nie brzmi banalnie.

Jedna z kolacji została zorganizowana z kobietami z fundacji Rak'n'Roll, które miały doświadczenia graniczne, np. usłyszały diagnozę, że mają przed sobą trzy miesiące życia i musiały o tym powiedzieć dzieciom. Rozmowa z nimi miała zupełnie inny przebieg, bo miały już w sobie przerobione myślenie o śmierci. ▶

